

## Królewna Coccinella i zły ton umysłu

Przybysz był wysoki i dobrze zbudowany, a jego skóra miała przyjemnie snobistyczny złotawy odcień.

– Ani z solarium, ani z wyższych sfer – dodał lokaj, anonsując przybysza na królewskim dworze w Koklandii.

– A skąd, a skąd? – zapytała szeptem królewna Coccinella, ale lokaj nabrał już wody w usta.

Nikt nie zauważył, że nie była to woda tylko spory haust wina z królewskiej karafki.

Od czasu niefortunnego narzeczeństwa Coccinella udawała, że cierpi na stosowne obniżenie nastroju – inaczej nie wypadało. Jej ojciec, zgodnie z bajkową tradycją, sprowadzał na dwór co raz to nowych szarlatanów, mających rozproszyć melancholię królewny. Na razie nie pojawił się jednak żaden „głupi Jaś”, który mógłby ją odczarować. I nic nie wskazywało, że miałby to być właśnie przybyły mężczyzna.

Ubrany w białą koszulkę polo i lekko połyskujące szorty wyglądał wprawdzie dość osobliwie w sali tronowej z jej atłasami, kolumnami i złoceniami, ale król był tolerancyjny dla gości, a dwór niecierpliwie czekał okazji do obgadania nader owłosionych łydek przybysza. Tymczasem wszyscy ucichli i niecierpliwie słuchali, kim też jest i co ma do powiedzenia – a była to zaiste propozycja niecodzienna.

Przybysz, który okazał się być trenerem, uważał, że niezawodnym lekiem na dolegliwości królewny będzie gra w badmintona. Ponieważ dyscypliny tej nie znano jeszcze w Koklandii, pokrótce wyjaśnił, na czym polega ten starożytny sport. Król miał początkowo wątpliwości, czy wypada, aby jego córka uganiała się po boisku w kusej spódniczce i na dodatek wymachiwała czymś, co przypominało skrzyżowanie saperki z siatką na motyle. Kiedy jednak dowiedział się, że, jak twierdzi Wikipedia, w badmintona grali już Aztekowie, uznał, że rodowód gry jest wystarczająco legendarny. W końcu wszystko, co wiadomo o azteckiej cywilizacji, to tylko projekcje badaczy, a Wikipedia lokuje się w czołówce mitotwórczej literatury wszech czasów.

Niezwłocznie przystąpiono do budowy boiska, wyprodukowano stosowną dla królewskiej córki jedwabną siatkę, sprowadzono z zagranicy spory zapas rakietek i lotek. Zaczęły się lekcje. Niestety, dobre maniery królewny nie pozwalały jej czynić szybkich postępów. Gra okazała się wymagać niczym niemaskowanej złośliwości i sprytu – trzeba było odbić lotkę tak, żeby osoba po drugiej stronie siatki nie mogła tego zrobić. Królewna grywała czasami w piłkę albo w ringo, ale rzucała wówczas wraz z dwórkami w kółeczku – pojęcie przeciwnika było jej zupełnie obce. Ponieważ wszystkie panienki z dobrych domów miały wpojone te same zasady, badminton w ich wykonaniu okazał się grą monotonną i nudną.

Sfrustrowany trener zwrócił się w końcu do króla, aby oddelegował do gry z królewną kogoś, kto

zdobędzie się na tę odrobinę podstęp, która dodaje grze energii i dramatyzmu. Król wybrał błazna, a właściwie kilku i była to trafna decyzja. Gra od razu nabrała rumieńców. Królowna zezłościła się, że nikt nie podaje jej lotki na raketkę, a błazeńskie serwy trudno odebrać. W jednej chwili po melancholii nie został nawet ślad. Coccinella zaczęła się zastanawiać, czy nie zakochać się w trenerze. Ten jednak odebrał od króla wypłatę za uzdrowienie królowny i zniknął bez śladu. Chodziły słuchy, że zginął w zasadzce zastawionej przez „głupiego Jasia” – który przecież zwyczajowo powinien był zgarnąć nagrodę.

Niebawem odbijanie przez siatkę znudziło się królownie. Zawładną ją duch rywalizacji i ryzyka, który szeptał, że to żadna atrakcja i że trzeba poszukać prawdziwego wyzwania.

– Papo – wpadła podekscytowana na przechadzającego się po pałacowym parku króla – papo, będziemy odbijać nad kanałem! Tym, który dostarcza wodę do młyna!

– Dobrze, dobrze, kochanie – odpowiedział machinalnie władca zatopiony w rozmyślaniach o dyscyplinie budżetowej.

Teraz dopiero zaczęła się zabawa. Gdy gracze stali na przeciwległych stronach kanału, mecze były naprawdę emocjonujące. Ale królowna była tylko królowną. Gdy zabłociła buciki i podrapała nogi, a większość lotek odpłynęła w siną dal, wróciła do pałacu.

Została za to grupka królewskich błaznów, którzy stokroć bardziej woleli nową wersję badmintona niż wymyślanie dowcipów dla króla. Umocnili brzegi kanału i zatrudnili gondoliera z łódką, żeby wyławiał odpływające lotki. I graliby pewnie tak do dzisiaj, gdyby nie to, że jednemu po drugim powinęła się noga i zniknęli w odmętach. Gondolierowi nie płacono za wyławianie topielców.

– To nie był wcale taki bad mind tone – mruknął pod nosem król, który liznął nieco języków. Podniósł głowę znad księgi przychodów i rozchodów: – Wprawdzie niechcący zapłaciłem za gondolę i gondoliera, ale kilku błaznów ubyło z listy płac. A to bardzo zabawna oszczędność.